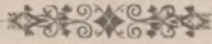


WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Stanisław Rewera Potocki (str. 252).

BRANIEC TATARSKI,

opowiadanie na tle historycznym osnute,

przez Maryą Świdorską.

(Dalszy ciąg.)

VII. SZLACHTA TATARSKA. — MAŁY TATARZYN I PSOTY JEGO. — PRZEŚLADOWANIE. — MAŁY MĘCZENNIK.

— Pan nasz Edyga-bey należał do szlachty.

— Alboż to i te pohańce są szlachcicami! Tfu! co waćpan gadasz! — zawołał z oburzeniem pan Gozdawa — a zkądże to oni nabyli to szlachectwo? czy z tego, kto więcej bydła ukradnie, albo ludzi niewinnych namorduje?

— A jednak — ozwał się młodzieniec — i oni mają swoją szlachtę, potomków starych rodzin, co to jeszcze z Dżyngis-hanem z Azji przywędrowały, zowią ich „Mirzami” czyli Murzami. Takich rodzin jest już tylko pięć, ale bardzo rozgałęzione wielu mają członków. Z rodzin Murzów nieraz hanowie panujący z rodu Girejów wybierają sobie żony czyli raczej niewolnice. Są znów cztery rodziny starożytne „Ulemów” to jest szlachty duchownej, a z tej pochodzą kapłani i uczeni, strzegący miejsc świętych i klasztorów, do których lud tatarski pielgrzymki odbywa.

— Co waś znów prawisz? U Tatarów święte miejsca i klasztory! Słychać i u nas wprawdzie o pogańskich świętych, ale to tylko o tureckich i ci pono nie szczególnie wyglądają, jak niesie nasze przysłowie („Goły jak święty turecki”).

— Pewno, że to nie są święci prawdziwi, jak u nas, ale Tatarzy im się kłaniają i do nich się modlą, a nawet obfite składają ofiary w świątyniach, czyli meczetach. Icli zaś zakonnicy, czyli derwisze, umartwiają się srodze, palą się ogniem i krają ciało brzytwami, na odzienie co prawda nie dużo wydają, ale co mydła i szczotki to już nie znają z pewnością, dość na nich spojrzeć, żeby temu uwierzyć. O jedzenie żebrzą, a resztki ubogim oddają. Oprócz tedy tych rodzin dawnych Mirzów i Ulemów, jest jeszcze inny rodzaj szlachty, co się tego stanowiska dorobili, sprawując rozmaite urzędy; tych mniej szanują w Krymie i zowią ich „Kapikulisami”. Ma się rozumieć, że m się o tem wszystkiem później dopiero dowiedział.

Otóż Edyga-bey był z Kapikulisów; miał dwór obszerny, nawet ze szklanemi gdzieniedzie szybami, co je Tatarzy możniejsi od kupców weneckich nabywali; posiadał dużo gruntów i te mu niewolnicy uprawiali. Żon miał pewno z piętnaście, sporo córek i kilkunastu synów, małych chłopaków,

co najwięcej się wszystkim we znaki dawali, a szczególnie jeden, wielki ulubieniec ojca, Adżi, silny i dziki, jak drapieżne zwierzę. Wymyślał różne złośliwe psoty, z których jedną najlepiej pamiętam. My jeńcy sypialiśmy w wielkiej szopie, lichy z gałęzi i trzciny skleconej, bo w tatarskich ziemiach drzewa mało, gdzie więc nie budują domów z kamienia, to żyją w namiotach z pilśni albo w szatrach nędznych.

Otóż jednej nocy, kiedyśmy obaj z bratem ułożyli się na sianie w kąciku szopy i smaczno usnęli, napracowawszy się przez dzień cały, a potem napłakawszy się, jak zwykle, przy wieczornej modlitwie, czuję, że mię coś dusi i oddech tłumi, gorąco straszliwe, szum jakiś... wreszcie zrywam się, a tu nad nami dach płonie, dym bucha kłębami i oczy wygryza, że widzieć nic prawie nie można. Krzyknąłem gwałtu, a tu zrywają się i inni: popłoch, krzyk i ledwieśmy żywi uszli, a niejeden poparzony, z opalonymi włosami. Cóż się pokazało? To sprytny Adżi z kilku braćmi ogień podłożył na czterech rogach dachu i chcieli nas żywcem upiec. Jakże się ojciec śmiał, podparłszy się grubemi pięściami pod boki, a mówił, że z Adżego będzie kiedyś dzielny seraskier czyli wódz plemienia tatarskiego.

Kiedyś znów mądry Tatarzynek wrzucił psa swego do kotła z mlekiem owczym, co nam do jedzenia przygotowane było i tak rzadki dzień się zdarzał, żeby czego nie spletał na krzywdę ludzką. Brata mego zawsze lubił targać za długie jasne włosy; ale kiedy dnia jednego całą garść mu wyrwał, a biedny mój Staszek aż pobładał z bólu, ja, choć mniejszy od Tatarzyna, jakem go schwycił za gardło, to padł na ziemię i wyrwać się nie mógł. Nie wiem, co by się dalej stało, ale nadbiegł nasz nadzorca, ów stary, o którym mówiłem, i mnie odrzucił, ale Tatarzyna za ramię ująwszy, tak mu coś nagadał po tatarsku, czego jeszcze wtedy dobrze nie rozumiałem, że uciekł i długi czas się do nas nie zbliżał, tylko z daleka nienawistnym z pośledba rzucał spojrzaniem...

Kiedyś, pamiętam, było to pod jesień i zbliżało się jakieś wielkie święto tatarskie; Edyga-bey z synami wybierał się do meczetu w Krymie, sąsiednim grodzie, kobiety tylko zostawały w domu, bo im do meczetu wchodzić nie wolno, ani się modlić, ponieważ, według wiary mahometanów, one duszy nie mają. Pewnego rana Kubalim, nasz nadzorca, kazał nam się ubrać w nowe opończe z białego sukna, w obuwie ze skóry cielęcej i na głowy włożyć barankowe czapeczki z okrągłym denkiem, jak je noszą Tatarzy. Nie wiedzieliśmy co to ma znaczyć, ale ucieszyliśmy się, osobliwie Staszek, bo dotąd obdarto i boso musieliśmy cho-

dzić, a nogi mieliśmy pokaleczone i nie zahartowane jeszcze wcale. Kiedy jednak Kubalim kazał nam iść do pana, spytałem go po tatarsku, bo tym językiem zawsze z nami rozmawiał, co by to znaczyć miało? Odrzekł, że wołą Edygi beya było, abyśmy się z nim razem do meczetu wybrali i tam uczyli się mahometańskich modlitw i obrzędów. Spojrzałem na Staszka, nic nie rzekł, ale rozumieliśmy się i bez tego.

— Powiedzcie—odezwałem się do Kubalima—że do meczetu pójść nie możemy, bośmy chrześcijanie i nigdy nimi być nie przestaniemy.

Stary pokiwał głową i odszedł, ale za chwilę nadbiegł Tatarzyn jakiś od pana i porwawszy nas obu za uszy, powlókł do izby pańskiej. Edyga bey, tłusty bardzo i niemłody już człowiek, siedział na macie plecionej, na ziemi, jak to u nich zwyczajem i palił fajkę. Zmarszczył się srodze, spojrzawszy na nas i krzyknął:

— Wy, psy gjaury, do meczetu i obmyć się z grzechów!

Nasz Tatarzyn rzucił był nas obu od razu płackiem do ziemi przed obliczem pana, bo u mahometanów taki zwyczaj, że biją pokłony przed swym przełożonym, jak my tylko przed Panem Bogiem. ale teraz staliśmy już na nogach, pokłoniłem się więc Edydze i powiedziałem spokojnie:

— Każ nam, panie, pracować, a będziemy, ale do meczetu nie pójdziemy, bo się nam nie godzi wiary naszej wyrzekać.

Edyga poczerwieniał, jak burak, na żółtej twarzy swojej i skinał na sługi. Dwóch pacholków tatarskich porwało nas i wywłókłszy z izby zaczęło nas ćwiczyć trzciniami. Zacisnąłem zęby, żeby nie krzyzczeć, ale kiedy Staszek biedactwo jęknął żałośnie, to mi o mało serce nie pękło z bólu. Wolalbym był, żeby mnie na sztuki rozsiekali, niż żeby jego kaleczyć mieli; ale on potem ucichł i już go nie słyszałem.

Kiedy bić przestali, spojrzałem, brat leżał bładny, jak ten marmur z krymskich meczetów i jakby nieżywy. Rzuciłem się na niego, krzycząc i szlochając, całowałem usta jego i rączki; po chwili oczy otworzył i przez łzy spojrzął na mnie. Byłbym tych katów szarpał zębami za to, że mi brata męczyli, ale Kubalim stał już nad nami bładny i kazał obu nas zanieść do szopy, a sam do izby pańskiej wkroczył. Co tam było, nie wiem; musiał coś za nami przemówić, bo już nas nie bili dnia tego i przynieśli jedzenie w glinianej misie, ale wstać żaden z nas nie mógł. Tuliłem brata do siebie i płakałem nad nim, opatrując sine pręgi, jakimi był okryty i własnego bólu nawet nie czułem. On mnie pocieszał. Zawsze był bardzo spokojny i teraz mówił:

— Widzisz, braciszku, chcą z nas zrobić męczenników za wiarę świętą, trzeba cierpieć, a Bóg nas nagrodzi w niebie i Matka Najświętsza, co mi się téj nocy śniła w niebieskim płaszczu ze srebrnymi gwiazdami, a promienie były od jęj głowy.

I rozmawialiśmy długo, a postanowiliśmy nie dać się pobańcom, choćby nas na sztuki mieli rozerwać; ale jak pomyślałem, że mi Staszka katować będą, to mi się serce krwawiło.

Wdowa, słuchając tego opowiadania, zalewała się łzami i dziewczęta także; wreszcie odezwała się:

— To jakbym widziała moje własne dzieci; i moje biedactwa od niewiernych zginęły — dodała, łkając cicho — i mój był Staszek, kiedyś, kiedyś...

Pan Gozdawa także wzruszony wstał i rzekł:

— Nie mówcie już dzisiaj więcej, proszę was; moje baby się rozbeczały a wam, pani bratowo, tego nie trzeba; i tak jużście ledwie oczu nie wypłakali nad swoimi; teraz pomódlcie się i dobrzej nocy.

VIII. OPIEKUN ODJEJŻDZA. — SZATAŃSKI POMYSŁ MAŁEGO ADZI. — SEN.

Nazajutrz wdowa tak się czuła osłabioną po wzruszeniu wczorajszym i nocy bezsenną, że z łóżka wstać nie mogła. Młodzieniec nie chciał przy niej dalszych swych przygód opowiadać, żeby się nie zmęczyła, ale że reszta gronka ciekawą była serdecznie tego, co się dalej działo, zasiedli pod wieczór wszyscy, prócz wdowy, przed dworkiem w sadzie i młody braniec mówił co następuje:

— Rano, zaledwieśmy się pobudzili, stanął nad nami Tatarzyn od pana przysłany, żebyśmy szli do meczetu, co usłyszawszy, pokazałem mu krwawe pręgi na plecach brata i swoich i powiedziałem, że nie możemy iść nigdzie. I tak jeszcze dzień przeszedł, nie pędzono nas do roboty, dano misę mleka i kilka z prosa wypiekanych placków, co je bairami nazywają, a nazajutrz raniutko przyszedł Kubalim i namawiał, żebyśmy do meczetu poszli. Tłómaczył, że Edyga ma nas posłać do Carogrodu, gdzie nas i tak zmuszą do przyjęcia mahometańskiej wiary, lepiej więc od razu się zgodzić, niż cierpieć napróżno prześladowania rozmaite. Odpowiedziałem, że obaj z bratem gotowi jesteśmy znieść wszelkie męczarnie, ale od wiary nie odstąpimy; może się Pan Bóg zlituje i śmierć ześle, ale poturczyć się nie damy, wolimy tu cierpieć, niż potem na tamtym świecie, gdzieby się nas wyparł ojciec rodzony, co padł krwią obłany i zamordowany od pohańców, i matkaby nas przekłęta na wieki. Nieraz nam ona opowiadała o dziadku, co mu Tatarzy oczy wypa-

lili w niewoli, żeby się ich prorokowi pokłonił, a taki nie uległ i Bóg mu dał tę łaskę, że choć stary i ślepy, powrócił wkońcu do swoich i był od nich czczony, jakby święty męczennik jaki.

(D. c. n.).

DO MARYNI K***.

Zwiana aniołka tchnieniem z błękitów,
Lub rąbkiem skrzydła lekko muśniona,
Zlatuje gwiazdka z niebieskich szczytów,
Srebrna, przezrocza, blaskiem olśniona.

Wstęgą promienną drogę swą ściele,
Z pod chmurki lekkiej zasłony świeci...
Czy ziemi w darze niesie wesele,
Że tak szybuje, tak śpiesznie leci?

Znikła... tam błysła... skryła się znowu!...
Czy ją już w lilii ujrzę kielichu,
Czy na uroczym dziecka uśmiechu? —
O moja gwiazdko, błyszniż na nowo!

Wistocie, błysła nad główką złotą
Rozmodlonego aniołka ziemi —
I wnet dziewczeczki dusza z ochotą
W podobną gwiazdkę lśniąca się mieni.

Tylko, że zamiast świecić na niebie,
Błyszczysz w koronie Królowej świata.
A cóż, czy zgadłaś, pytam się Ciebie,
Kto gwiazdką oną co z ziemi wzłata? —

W. M.

JEDNAKOWE LISTECZKI,

B A Ś Ń.

I.

Cały dwór był w wielkiem poruszeniu. Księżniczka Ofka, która miała być po śmierci ojca królową, odmówiła swęj ręki sześćdziesiątemu z kolei młodzieńcowi. Naród się burzył, król Dobruch był już stary i niedołężny, państwo obszerne wymagało młodego i energicznego pana, to też ciągle grymasy księżniczki Ofki tak naród znudziły, że postanowił innego króla wybrać na tron, a rodzinę Dobruchów usunąć.

Księżniczka Ofka, ulegając naleganiom zrozpaczonego ojca, przyrzekła nareszcie, że temu odda swą rękę, kto jęj dwa jednakowe listki przyniesie. Warunek na razie zdawał się tak łatwym, że nawet pogardzeni młodzieńcy z zapalem wzięli się do wyszukania owych listków na czas oznaczony. Dwustu dwunastu książąt walecznych i młodych

zapragnęło posiąść rękę pięknej, choć kapryśnej księżniczki Ofki, ale żaden z nich nie mógł na drzewie dwóch jednakowych znaleźć listków, i zniechęceni pojechali gdzie indziej szukać żony mniej wymagającej.

Ośmdziesięciu książąt innych, ubogich, tysiące synów szlacheckich, dni i nocy szukało daremnie owych cudownych listków. Daremnie, bo albo kolor był inny, choć wielkość jednakowa, albo znów kształt odmienny; a księżniczka i zwyciężeni współzawodnicy starannie każdą przywiezioną próbę oglądali.

Tymczasem przeszło sześć lat, król Dobruch jeszcze bardziej się zgarbił i tak ogłuchł, że nawet nie zawsze usłyszał, co mu minister do ucha szeptał, a księżniczka Ofka, znudzona gniewem narodu i scenami rozpaczki odprawionych z niczém książąt, postanowiła sobie wybrać za męża pierwszego z nowo przybywających. Wieść jednak o jęj wymaganiach tak daleko się rozeszła, że coraz mniej było starających się o rękę pięknej kapryśnicy.

Maj był na niebie, lecz na polach i w ogrodach Dobrucha daremnie oko szuka wonnej, jasnej zieleni; różnobarwne pstrzą się kwiatki na grządkach, lecz mimo starań pielęgnującej je ręki, bez liści, tych niezbędnych do ich piękna i życia towarzyszy, samotnie i smutno wyglądają. Król Dobruch z rozkoszą grzał się na słońcu; o ile mógł, zawsze dobrym władcą i wyrozumiałym był dla swych poddanych, to też z niezmaconym spokojem używał upragnionego wypoczynku, rządu kraju powierzywszy zaufanym ministrom.

Ofka, przy krosienkach siedząc, tylko igielkę trzymała w ręku, lecz napróżno piękne, wzorzyste liście nęciły zręczną robotnicę. Napróżno, bo jakżeż mogła odtwarzać na płótnie to, co naokoło nięj już nie istniało od lat tylu. Ofka chciwém okiem objęła otaczającą przestrzeń, jakby łaknąc owęj zieleni majowęj, której sama stała się niszcycielką i wtedy dopięro przckonała się, że jest pewna granica kaprysom i grymasom, której przekroczyć nie wolno bezkarnie i zastanowiła się, jak wiele złego jęj nierozsądne wymaganie wyrządziło.

Rolnictwo upadało, ale i ogrodnictwo dostatecznie rozwinać się nie mogło, bo zaledwie młodziutki drzewka pierwsze listki puszczały, chciwa ręką poszukiwaczy już je nielitościwie zrywała. Biedne małe drzewka schły i umierały, a stare drzewa, szeleszcząc ogołoconemi gałęziami, zdawały się karą wielką grozić nielitościwym niszcycielom. Ptaszki, nie mając ochrony przed słońcem i deszczem, w dalekie uleciały kraje; głucho i smutno było w państwie Dobrucha.

Pośród tych ponurych myśli usłyszała Ofka

szybkim krokiem zbliżającego się pazia, oznajmującego, że nieznany królewicz prosi o posłuchanie. Twarz pięknej zasmuconej rozjaśniła się, i przywołane śpiesznie służebne wnet w najpiękniejsze przybrały ją szaty, a brylantowy naszyjnik nie błyszczał jaśniej, niż oczy uradowanej księżniczki.

II.

Księżniczka Ofka, otoczona licznym orszakiem, przyjmowała w tronowej sali upragnionego gościa; młody królewicz przybył bez dworzan, w skromnym stroju, lecz témbardziej pod prostą suknią uwydatniała się piękna postać jego, a gdy mówić zaczął, to wszystkie serca lgnęły do niego, tak słodki miał głos, takie rozumne słowa z ust jego wychodziły. To też w kraju poddani zwali go Miodoustym. Księżniczce Ofce tak się podobał urodziwy młodzieniec, że gotowa była wybrać go na męża, choćby nawet zupełnie listków nie znalazł. Ale rada państwa temu wręcz się sprzeciwiała, zresztą młody królewicz zażegnał rozpoczynając się burzę, mówiąc, że właśnie przybył dopiero wtedy, gdy owe cudowne listki już posiadał.

Okrzyk niedowierzania i zazdrości rozległ się pośród otaczających; królewicz, obojętny na te objawy, poprosił, by mu wolno było opowiedzieć, jakim sposobem udało mu się zdobyć to, czego tysiące ludzi nadaremnie szukało:

— Kraj mój daleki od waszego, miłościwy panie, lecz i do nas doszła wieść o niezwykłej urodzie księżniczki, jak również o warunku, pod jakim jęć rękę i tron otrzymać można było.

Zyłem spokojny i szczęśliwy pośród kochanych i kochających poddanych, ale ten spokój i życie jednostajne młodemu ciężyc zaczynało. To też z podwójnym zapałem przez dni kilka kazałem ogołacać lasy i ogrody własne i poddanych moich. Sam pilnowałem przez dni i nocy wykonania mych rozkazów, nie używając nawet niezbędnego wypożyczku.

Po tygodniu takiego gorączkowego życia, uczułem nieprzewycięzoną chęć wytchnienia. Noc była piękna, księżycowa, poszedłem do ogrodu, przed tygodniem tak wesołego i cienistego, dziś głuchoego i szeleszczącego suchemi gałęziami, jak kośćmi szkieletu.

Usiadłem na darniowej ławeczce, przez chwilę sen dobroczynny mnie ogarnął i po tygodniowym zmęczeniu lubowałem się tą miłą ciszą. Wkrótce jednak uczułem, jak mię coś w ramię lekko poruszyło; powtórzyło się to raz drugi i trzeci, spojrzałem dokoła, cały rój ptasząt mnie otaczał, a tak żałośnie spuszczone miały główki, tak rzewne skargi z ich piersi wychodziły, żem wzru-

szony zapytał, co jest przyczyną ich smutku i niedoli?

Najstarszy orzeł, wódz całej wyprawy, temi słowy odezwał się do mnie:

— O królewiczu, przyszedłszy cię pożegnać. Małem dziecięciem będąc, litościwie drobną rączką sypałeś nam ziarno, swém dobrem, pocziwem sercem broniłeś piskląt naszych od nieprzyjaciół, to też dzięki takiej opiece liczniej niż gdzieindziej rozmnożyliśmy się, i twoje lasy i ogrody brzmiały zawsze wesołym pieniem. Dlaczego dziś tak okrutnym dla nas się okazujesz, dlaczego prawnuki z gniazd wyrzucać każesz, będąc niegdyś tak dobrym dla ich dziadów, nie wiemy. Jeśli dzieło zniszczenia i nadal prowadzić zamierzasz, w takim razie, nietylko nas stracisz na zawsze, lecz i poddani twoi, tak dziś szczęśliwi, na ciebie będą tak płakać i narzekać, jak płaczą i narzekają na władców swych sąsiednie państwa. Książę, jam stary, pomnę cię małym chłopięciem, jak delikatną rączką każdemu pomocy udzielając, serdecznym słowem otuchę w serca cierpiących i nieszczęśliwych wlewałeś, a dziś, dla dogodzenia kaprysowi nieznajomej, poświęcasz dobrobyt kraju i poddanych! Gdybym był człowiekiem, płakałbym nad tobą. Bądź jednak dobrej myśli, my za ciebie wyszukaliśmy owych listków; jeśli nas prześladować przestaniesz, gotowi jesteśmy pozostać z tobą jak dawniej, święgotać i strzedz twych pól i lasów.

Widmo znikło. Nazajutrz i dni następnych wszystko wróciło do dawnego porządku. Piękna księżniczko, wyrzekłem się szczęścia oglądania waszego oblicza, wstydiłem się dzieła zniszczenia, które lekkomyślną ręką rozpocząłem. I dobre, kochane drzewka nowemi liśćmi okrywać się zaczynały, a przyjaciele moi skrzydlaci hymn tryumfu i wesela nucili.

Pewnego ranka, budząc się ze snu, usłyszałem śpiew słowika i ujrzałem u stóp łoża dwa dębowe liście tak podobne do siebie, tak jednakowe, że trudno mi było z początku temu uwierzyć. Sądząc, że się mylę, przywołałem po kolei moich dworzan, każdy to samo mi powiedział. Mam nadzieję, księżniczko, że i wy to uznacie.

To mówiąc, podał pięknej Ofce złote pudełeczko, na dnie którego dwa ciemno-zielone dębowe leżały liście.

Podczas kiedy dwór cały badał cudowne listki, Ofka, zbliżając się do królewicza, rzekła, podając mu białą rączkę.

— Książę, oto wasza nagroda.

Ku ogólnemu jednak zdumieniu, Miodousty nie przyjął upragnionej przez tylu ręki, tylko przyciszoną głosem, jakby nie chcąc zawstydić księżniczki, rzekł:

— Tyłu godniejszym odmówiliście, księżniczko, swęj ręki, dla tego, że mimo największych usiłowań wymaganiom waszym nie mogli uczynić za- dość; mnie zaś, który prawie bez trudu zdobyłem upragnione przez was listki, pozwólcie, jako hołd przynależny waszěj piękności, u stóp waszych je złożyć, do ręki waszěj jednak nie roszczę sobie praw żadnych. Poszukiwaliście liści jednakowych a nie osoby, ponieważ każdego starającego się przyjmowaliście zarówno na dworze waszym.

Kobieta wymagająca i kapryśna nie może być dobrą żoną ani matką w życiu rodzinném, a tém bardziej dobrą królową. To też nie mam odwagi ani prawa powierzyć wam życia własnego, losu i spokoju moich poddanych, których dobrobyt i szczęście mógłbym narazić, ulegając waszym kaprysom, lub też was nieszczęśliwą uczynić, sprzeciwiając się takowym. Żegnajcie zatem, piękna księżniczko, i wy, zacni panowie.

Z temi słowy opuścił piękny książę dwór Dobrucha, pogrążając wszystkich w smutku i zdumieniu.

Najsmutniejszą jednak była piękna Ofka. Młode jęj lata przeminęły na próżnej gonitwie za listkami jednakowemi, za błahostką, tymczasem te listki upragnione, nietylko, że szczęścia jęj nie zapewniły, lecz przeciwnie stały się powodem wstydu, upokorzenia i prawdziwego nieszczęścia.

Czytelniczki miłe, niech w dziewczęcych waszych marzeniach szlachetna myśl uszczęśliwienia otaczających was przewodnią nicią wam będzie, a to droga do szczęścia prawdziwego najpewniejsza... niemylna!

Ileż to razy w samolubnej pogoni za owym cudownym listkiem depcemy po sercach blizkich naszych, a czyż przez lży i niedołę bliźnich promyk szczęścia zabłysnąć może?

Marya Ciświcka.

Nieprzyjaciel niewidzialny.

POGADANKA NAUKOWA.

Każda z naszych młodych czytelniczek nieraz zapewne, bawiąc się w gosposię, miała do czynienia z drożdżami i zna je bardzo dobrze; ale czy każda potrafi wytłómaczyć dokładnie, co tam jest właściwie w tych drożdżach? Juźto, co prawda, do niedawna jeszcze nikt na to pytanie odpowiedzieć nie umiał. Dopięro współczesny uczony Francuz, nazwiskiem Pasteur, wykrył prawdziwą naturę drożdży, a to go doprowadziło do odkryć nadzwyczaj ważnych, o których chcemy dziś naszym czytelnikom opowiadać.

Parę lat temu w pogadance o fabrykacji piwa wspominaliśmy już pobieżnie o drożdżach i o działaniu ich, które się nazywa fermentacją. Musimy to jednak teraz powtórzyć w kilku słowach, gdyż opowiadanie byłoby niezrozumiałe dla tych, którzy dawniejszej pogadanki nie czytali, lub czytali tak dawno, że o tém zapomnieli.

Ludzie od czasów niepamiętnych znali drożdże i używali ich do wyrabiania piwa, do wypiekania ciasta, a jednak aż do dni naszych, nikt nie wiedział, z czém ma do czynienia. Wyobrażano sobie, że drożdże jest to jakaś dziwna substancja, która sprawia fermentację i sama przytém szybko przybiera; bo wiadomo, że w fabrykach piwa naprzykład ilość nieskończona drożdży bierze się niewiedzieć zkąd, a więc... wyrasta.

Tak, oto jest cała tajemnica tworzenia się drożdży; wszak wiemy, że żaden minerał, żadna rzecz martwa, nie powiększa swojej masy, jeżeli do nięj nie dodamy tegoż samego materyału; do kupki piasku naprzykład nie dosypimy trochę piasku, do wody w naczyniu nie dolejemy wody i t. d. Innym sposobem powiększają się istoty żyjące, o których mówimy, że rosną. Otóż i drożdże dla tego jedynie szybko rosną, że to są rośliny, drobnie-nieczkie grzybki.

Na pierwszy rzut oko trudno naprawdę w to uwierzyć, bo ta bezkształtna, bezbarwna masa, podobniejsza jest daleko do jakiejś ziemi martwej, aniżeli do rośliny. Niedziw więc, że nikt aż do czasów Pasteura nie odgadł tej tajemnicy. Możeby i jemu to było nie przyszło do głowy, żeby nie obejrzał był uważnie drożdży w mikroskopie. Wówczas w powiększeniu ogromnym spostrzegł, że ta masa składa się z licznych kuleczek, jakby pęcherzyków, wypełnionych galaretowatym płynem. Podobne pęcherzyki znajdują się we wszystkich tkankach żyjących istot, tak roślin jak i zwierząt, nazywają je komórkami.

Suche drożdże są jakby w uspieniu, tak samo, jak suche nasiona każdej rośliny. Ale gdy je umieścimy w jakiej słodkiej cieczy, zaraz się rozbudząją do życia. Pod mikroskopem można obaczyć, jakim sposobem rosną. Pęcherzyk, czyli komórka, zaczyna nabrzmiewać i wnet z boku ukazuje się małułka narość, jakby pączek, który się powiększa szybko i nakoniec odrywa się od komórki macierzystej i staje się nową, osobną komóreczką. Często tym sposobem jedna komórka rozdziela się na kilka pomniejszych, czasem tworzą się jakby gałązeczki z licznych komórek poszczepianych ze sobą. A zawsze ilość grzybków się pomnaża i masa drożdży rośnie.

Niejeden z naszych czytelników powie może: ależ to prosta taka rzecz, przecież minerał nie ro-

śnie, drożdże rosną, roślinna ich natura jest więc widoczna i łatwa do odgadnięcia. Ba! przypomnijcie sobie jajko Kolumba. Któż o tém jajku nie słyszał?

A teraz zastanówmy się jeszcze, jakim sposobem grzybki drożdżowe rosną. Oto tak zupełnie, jak wszelkie inne istoty żyjące, przez pobieranie pokarmu. Nieraz już opowiadaliśmy naszym czytelnikom, że zielone części roślin, liście, łodygi, pochłaniają, wciągają drobnuteńkimi otworkami, gazy z powietrza. Jeden z tych gazów, kwas węglany, który powstaje z palenia i oddychania ludzi i zwierząt, zawiera w sobie węgiel z tlenem połączony. Rośliny bardzo potrzebują węgla, więc go sobie zabierają z owego kwasu węglanego, a tlen czysty ulatuje w powietrze.

Ale drożdże nie mają zielonych części, bo całe są szare, nie mogą więc żywić się takim sposobem i muszą inaczej sobie radzić. Malutkie te grzybki rozrastają się najbujniej w słodkich, cukrowych cieczach. Cukier zawiera w sobie węgiel, połączony z dwoma gazami, tlenem i wodorem. Dwa te gazy same, bez węgla, tworzą wodę. Drożdże tego wszystkiego potrzebują i jak tylko zostaną zanurzone w osłodzonej cieczy, zaraz zaczynają zjadać w najlepsze cukier.

I cóż się dzieje? Rośliny, tak samo, jak i zwierzęta, pobierając pokarm, pochłaniają substancje, których potrzebują do wytworzenia swych tkanek, a niepotrzebne pozostałości wydzielają z siebie i odrzucają. Tak samo robią i drożdże. Nie wszystkie części cukru zatrzymują one w sobie, ale odrzucają z nich resztki, a te nie są już cukrem, lecz całkiem odmienną przybierają postać. Nic tam niema innego, tylko zawsze ten sam węgiel, ten sam tlen i wodor, ale każdego mniej trochę niż pierwój, więc powstają z nich inne połączenia, czyli związki. Najpierw tedy w cieczy, gdzie rosną drożdże, ukazują się z wierzchu bulki gazowe, też same bulki, co tak musują w wodzie sodowej; ztąd wiemy, że tam jest kwas węglany, bo ów gaz w sodowej wodzie tak się nazywa. Ale nie koniec na tém: ciecz ta wydaje zapach odrębny, także powszechnie znany, zapach wyskoku, czyli spirytusu.

W cieczy osłodzonej odbyło się działanie, które nazywamy fermentacją: wytworzył się w niej wyskok. Wszystkie trunki upajające, wyskokuwe, wino, piwo, gorzałka, wyrabiają się za pomocą fermentacji drożdżowej. Gdy ludzie chcą otrzymać wyskok, czyli spirytus, muszą wyhodować w cukrowej cieczy pewną ilość drobnuteńkich grzybków i one to właściwie, pobierając pokarm, fabrykują różne napoje dla człowieka. Co prawda oddają mu tylko resztki swego pokarmu przetra-

wione i odrzucone, ale któż o tém myśli, zapijając piwo i wino?

Wiemy jednakże, iż fermentacja może się wywiązać w słodkich cieczach sama z siebie, wtenczas nawet, gdy nikt do takiej cieczy nie doda ani odrobiny drożdży. Dostyc naprzykład jakiegolwiek owoce rozgnieść i umieścić na wolnym powietrzu, aby się burzyć zaczęły. Tym sposobem robią wino z winnych jagód. A któż nie wie, że konfitury i syropy często fermentują, jeżeli nie są dobrze zabezpieczone od przystępu powietrza.

I otóż w tém jest druga tajemnica: gdzie niema wolnego przystępu powietrza, niema fermentacji. Pasteur, ów Francuz uczony, który wykrył grzybki drożdżowe, dowiódł także przez rozmaite dowcipne doświadczenia, że zarodniki, drobnuteńkie, niewidzialne nasionka tych grzybków, unoszą się zawsze w powietrzu, osiadają więc wszędzie, gdzie tylko napotkają odrobinę słodkiej cieczy i zaraz się rozrastają. Potrzebują też do tego pewnego stopnia ciepła. Tak i nasiona wszelkich roślin, gdy je wiatr uniesie, padają na ziemię, a gdy natrafiają na grunt sprzyjający, a słońce przygrzeje, zaraz się bujnie rozrastają.

Ale powiedzieliśmy na początku, że wykrycie prawdziwej natury drożdży naprowadziło Pasteura na ślad innych odkryć nadzwyczaj ważnych. Wszak widzieliście nieraz na rysunku kroplę wody, powiększoną ogromnie pod szkłem mikroskopu. W tej wodzie, w której gołem okiem nic nadzwyczajnego dopatrzeć nie można, żyją niekiedy miliony drobnuteńkich istot. Są tam pomiędzy nimi drapieżne potwory, które pożerają inne, mniejsze od siebie żyjątka, jedne się poruszają szybko, inne są nieruchome. Jest tam świat zwierzęcy i roślinny, o którym nie mieliśmy najmniejszego wyobrażenia, gdybyśmy nie posiadali szkieł powiększających.

Wszystko to są rzeczy oddawna znane, nawet i dzieciom, my też nie mamy zamiaru opowiadać wam o kropli wody i jej mieszkańcach. Ale Pasteur odkrył jeszcze większe mnóstwo drobnuteńkich niewidzialnych istot w powietrzu. Te są jednak tak niezmiernie małe, że nie zawsze nawet pod szkłem mikroskopu dostrzegać się dają, obecność ich zwykle poznaje się po skutkach.

Jeśli naprzykład odwar siana postoi przez czas jakiś na otwartym powietrzu, dość jest kropelkę tej cieczy umieścić pod mikroskopem, aby w niej obaczyć niezmierne mnóstwo drobnuteńkich stworzeń. Jeśli taka ciecz, ugotowana wprzód przy bardzo wielkim gorącu, szczelnie jest przykryta, wata naprzykład, która nie przepuszcza najmniejszego pyłku z powietrza, żadne żyjątko się w niej nie pojawi. Cóż to dowodzi? oto, że zarodki tych

stworzeń dostały się z powietrza do owęj cieczy i w niej się rozwinęły, ponieważ znalazły tam stosowny dla siebie pokarm.

Wszak nieraz w dniu jasnym, słonecznym, gdy okienica była zamknięta, widzieliście wpadający do pokoju promień słońca, a w tój smudze świeciła całą chmurę pyłków. Te pyłki widoczne, są to olbrzymy pomiędzy powietrznymi pyłkami; obok nich są wszędzie wielkie ilości innych, drobniejszych, widzialnych pod mikroskopem, a wreszcie zupełnie niewidzialnych; to są zarodki przeróżnych żyjątek.

Nieraz gdy się kto skaleczy, rana nie goi się prędko, ale się rozjątrza, co czasem może się stać nawet bardzo niebezpieczne. Któż nie słyszał o gangrenie, strasliwém zepsuciu krwi, które się niczém zagoić nie daje. Przy operacjach chirurgicznych największa jest zawsze o to obawa, aby się rany nie jątrzyły.

Ażeby złemu zaradzić, przedewszystkiém wykryć należy jego przyczynę. Do niedawna nikomu ani przez myśl nie przeszło, że do tego jątrzenia się ran przyczyniają się owe drobnuteńkie istoty, których zarodki unoszą się w powietrzu. Ale teraz przekonano się, że one to spadają na ranę i mnożą się i rozrastają we krwi, tak prawie, jak drożdże w cukrowych cieczach. Pojmujecie, że przytém, dla podtrzymania własnego życia, pochłaniają niektóre części krwi i tym sposobem wywołują w niej zepsucie i gnicie.

Ten drobiazg, niedojrzany dla oka, staje się, strasznym, gdy się mnożyć i rozrastać zacznie. Obliczono, że jedno takie żyjątko wydaje w ciągu trzech godzin daleko więcej nowych, podobnych sobie istot, niż wynosi liczba ludzi, zamieszkujących całą kulę ziemską. Takie mnóstwo niepoliczonych żarłocznych nieprzyjaciół może człowieka pożreć żywcem, jak nic. To też niestety! nieraz się to zdarza. Po operacjach chirurgicznych, przy wrzodach i ranach rozmaitych, występuje aż nadto często zakażenie krwi nieuleczone i śmiertelne.

Teraz, gdy już lekarze o tём wiedzą, starają się obmyśleć środki ratunku przeciw tój okropnej klęsce. Więc pilną na to zwracają uwagę, aby przy ranach wszelkich zachowana była jaknajwiększa czystość i o ile możności chronią je od przystępu powietrza. Więc niekiedy przy opatrunku przykrywają ranę miękką i delikatną watą, i to się nazywa opatrunkiem Listera, od nazwiska lekarza, który go z pomyślnym skutkiem zaczął używać. Zwykle też w czasie operacji i przy opatrywaniu ran bryzgają w powietrze za pomocą przyrządu, zwanego pulweryzátorem, płyny ostre, gryzące, które mają tę własność, że zabijają wszystkie zarodki żyjące. Nieraz zapewne zdarzało się wam

słyszeć o karbolowym kwasie, znacie może i zapach jego odrębny. Otóż ten kwas karbolowy jest najpospoliciej używany, jako środek dezynfekcyjny, to jest trujący zjadliwe grzybki i wszelkie drobne żyjątko podobne.

Strasliwa choroba, zwana dyfterytem, jest także sprawą takiego drobnutkiego grzybka; zarodki jego w pewnych porach unoszą się w powietrzu w ogromnych ilościach i wtenczas biada nieostrożnemu dziecku, które się zaziębi tak, że w gardle jego powstaje zapalenie. To miejsce zapalone jest właśnie dla zabójczego grzybka najprzyjaźniejszym gruntem, zaraz więc się tam sadowi i rozrasta bujnie.

Teraz uczeni ludzie przyszli do przekonania, że większa część chorób ludzkich i zwierzęcych, zwłaszcza zaraźliwych, wywiązuje się wtedy, gdy pewien rodzaj drobnych takich istot dostanie się do krwi i tam się zaczyna rozrastać i mnożyć. Niektóre z tych istot schwytano już nawet na uczynku, znaleziono je we krwi w czasie pewnych chorób. Uczeni ludzie umieją je rozpoznawać i gatunkować, nadają też im rozmaite nazwy. Takie naprzykład, jak drożdże, z okrągławych, nieruchomych komóreczek złożone, nazywają po prostu grzybkami, inne, walcowate, ruchome, bakteryami, inne, podłużne i wijące się, nakształt wężów, wibryonami, inne jeszcze, nitkowate, lasecznikami.

Jest choroba, napastująca często bydło rogaté i owce, zwana karbunkulem, a po polsku chorobą węglkową. Od zwierząt i ludzie się nią zarazić mogą. Ów Pasteur, o którym wspominaliśmy już wyżej, znalazł we krwi zwierząt, tą straszną chorobą zarażonych, bakteryą pewnego rodzaju i odkrył nawet sposób zabezpieczania bydłęcia od niej za pomocą szczepienia, tak zupełnie, jak od ospy naturalnej ochraniają ludzi, szczepiąc im limfę krowianki.

Jest dziś oprócz Pasteura wielu uczonych ludzi, którzy nieustannie badają owe bakterye, wibryony i inne drobne istoty, którym nadają ogólną nazwę mikrobów. A niemaże to z ich strony poświęcenie, gdyż wszystko to jest obrzydliwe, jadowite, nieraz jedną kropelką takiego zarażonego płynu możnaby się na śmierć zatruć, gdyby się do krwi dostała. Tacy ludzie są to prawdziwi dobroczyńcy ludzkości, oni z niezmordowaną pracą, z narażeniem własnego zdrowia i życia, usiłują zapoznać się z groźnym nieprzyjacielem, ażeby ludzkość od niego uchronić.

M. J. Z.

Miasto Takna w Peruwii.

Rysunek nasz przedstawia ulicę peruwiańskiego miasta Takny. Jak widzimy, zbudowane jest zupełnie na wzór miast europejskich, chociaż Takna drugorzędne w Peruwii zajmuje miejsce; leży w okolicy tego kraju najbardziej na południe wysuniętej, klimat więc ma mniej gorący od stołecznego miasta Limy. Nie zapomnijmy, że po drugiej stronie równika kraje górętsze leżą w kierunku północnym, a w kierunku południowym zimniejsze, bo o klimacie stanowi, nie strona świa-

czora, trzymając się oburącz za głowę i kołysząc ją rozpaczliwie w rękach, oparłszy się łokciami na stole radnym; niedziele bywały najtrudniejsze do przebycia. Dzieci przepędzały je razem od rana, do wieczora, było to więc całodzienne gospodarstwo. Rano, pomodliwszy się chwilę wspólnie, jak dawniej, czworo dzieci szło razem do najbliższego kościoła. Wróciwszy, i zmieniwszy ubranie, bo tam zawsze lepsze ubranie oszczędzano, obie dziewczynki rozpałały w piecu i gotowały obiad, do którego potrzebne zapasy przynosiły w sobotę, wracając do domu. Oleś przynosił małą konewkę



Miasto Takna w Peruwii.

ta, ale bliskość równika lub bieguna, czy to północnego, czy południowego. Na południowej półkuli nikt nie powie na przykład: mroźne podmuchy północy, ale: mroźne podmuchy południa i skwary północy.

RODZINA ARTYSTY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA,
przez M . . a.

(Dalszy ciąg).

— Oj, oj, oj! jakież to nudny ten świat i ludzie na nim! — rzekł Oleś pewnego niedzielnego wie-

wody ze studni z podwórza, raz na dzień; a drzewa na wiązki kupili raz całą kopę od przejeżdżającego z furą gospodarza, i poukładali te wiązki za piecem. Oleś, zaledwo wróciwszy do domu, brał skrzypce do ręki, bo i do nich tęsknił prawie przez cały tydzień. Grał, ale jeżeli w czém, to w tém graniu właśnie można było przekonać się o różnicy zaszłej od kilku miesięcy w młodych duszach, zamieszkujących Izbę Radną. Umilkły oberki, zabrakło krakowiaków, i nikt się o nie nie upominał. Oleś grał gamy, i smutne trele jakież. Kazio siedział w książkach, zwyczajnie jak Lelewel, ale wzdychał, jak nie ten sam.

Pomiędzy dziewczynkami tak się to jakoś samo ułożyło, że Kasia więcej zajmowała się porządkiem domowym, a gotowaniem Aneczka. Może dla tego, że Kasia, choć niby rozsądna, przecież zawsze już zakrawała na strojnisię i dbała o rączki. Aneczka zaś, jako niby nauczycielka, już z urzędu rozprawiająca o obowiązkach, poczuwała się też i do spełniania tych obowiązków, jakie prawem starszeństwa spadały na nią po matce. Więc Kasia słała łóżka, i zamiatała, i sprzęty okurzała. A Aneczka, wyuczywszy się od pewnej nauczycielki francuzki sztuki gotowania obiadu „entre deux entrechats” gotowała.

Może nie wiecie, jak się gotuje obiad taki? to wam powiem, ku pożytkowi jakiej czytelniczki, gdyby kiedyś, mając kilkoro domowników, przyszło jęj, wróciwszy z jednej lekcji, nakarmić jako tako tych domowników i biedz za kwadrans na drugą. Taki obiad, między dwiema lekcjami, na którego ugotowanie i zjedzenie jest pół godziny czasu, nazywa się: „entre deux entrechats”, a robi się tak: Rozpalasz w piecu, wstawiasz rondel czystej wody, i ubijasz łyżką w garnuszku kilka jaj z mąką i z wodą. Ty kończysz to ubijanie tak, aby grudek mąki nie było, a woda właśnie zaczyna się gotować; Tedy wysuwasz rondel z pieca do połowy, podpierasz go z brzegu drewnikiem, aby się na ciebie wrząca woda nie wylała, i w tę gotującą się wodę lejesz powoli owę ubitą papkę z jaj, mąki i wody, odgarniając łyżką w drugiej ręce trzymaną, tworzące się w mgnieniu oka we wrzącej wodzie kluski; Gdy te delikatne klusieczki, jedyne, jakich Francuzki od nas robić się uczą, spłyną na wierzch i mają się zagotować, ty bierzesz rondel za ucho przez ściereczkę, wyjmujesz z pieca, wylewasz zupę w wazę, dolewasz mleka lub wkładasz masła, i stawiasz na stole. Jeżeliś wlała mleka, to obiad jest postny, więc stawiasz koło wazy talerz ciastek kupnych, imbryk z kawą i filiżanki. Jeżeli włożyłaś masło, to stawiasz szynkę, herbatę i chleb. I masz obiad „entre deux entrechats”.

Po obiedzie, do którego Kasia stół przygotowała starannie, dziewczynki zmywały naczynia, a chłopcy, nie mając fotelów, a mając już widać jakby instynkta dorosłych panów, rozciągali się każdy na swoim łóżku, patrząc w sufit. Przy rodzicach nie bywało tego, bo chłopcy nie śmieliby się nigdy rozciągać tak w biały dzień, przy dobrém zdrowiu, w obec rodziców; ale przy siostrach, to co innego: w obec sióstr, a zwłaszcza dobrych sióstr, lada malec brat zaraz pana udaje, ho ho! Więc pokładali się chłopcy po jedzeniu, ponieważ widzieli dawniej, że spracowany ojciec czasem tak robił. Leżąc tak, jeżeli słońce padało na ścianę, to Kazio sobie z własnych palców różnie układanych coś na-

kształt chińskich cieni na ścianie pokazywał. A Oleś pogwizdywał z cicha aryą grobową, wystukując takt obcasem na poręczu łóżka.

— Poznasz co to jest? — pytał Kazio Aneczki, przywoławszy ją skinieniem, na które to skinienie oczywiście siostrzysko wyjęło ręce z miski od pomywania, i obcierając je fartuszkiem przystąpiło do uczonego brata.

— Przypatrz się i powiedz, do czego ten cień na ścianie może być podobny?

— Do cienia zakrzywionego palca chyba...

— Masz tobie! powiedziała co wiedziała. Kasiu!

Aneczka wraca do pomywania, a Kasia ze ściereczką i umytą wazą, którą obciera, przystępuje do uczonego.

— Patrz na ścianę.

— Patrę.

— I cóż? co widzisz?

— Nic.

— Jako nic? czy nie widzisz odbicia figury pewnej?

— Figury? bodaj ciebie z twoją figurą, mój kochany; jak mama wróci, a skroi mi nową suknię, i uszyjemy ją porządnie, jak dla dorastającej panny, to się dowiesz wtedy, co to figura. Kiwa sobie palcem nad nosem i powiada, że to figura. Kiwaj palcem w bucie, to będzie też figura.

— Ot jest! i gadaj tu z kobietami. — Oleś! dojrzyś ty od siebie tego cieniu tu na ścianie?

— Dojrzę.

— To powiedz, do czego on podobny?

— Do kółka.

— A co? słyszycie, dziewczyny?

— No, albo co?

— To, że ja pracuję nad uproszczeniem alfabetu, wzięwszy sobie za zasadę, że najwyższy stopień tej prostoty będzie wtedy, gdy litery naszego dzisiejszego alfabetu nie zmienione, bo są dobre, ale uproszczone i ograniczone do koniecznych, dadzą się przedstawić za pomocą palców jednej ręki.

— Zkąd tobie to dzisiaj przyszło do głowy?

— Dzisiaj? moi kochani, ani się domyślacie, ja sam już nie wiem od wielu lat nad tą myślą pracuję. I pracować będę, aż doprowadzę zamiar swój do skutku.

— Czemu nie; w jednej rodzinie angielskiej ani domyślano się także niczego, gdy samemu panu przywidziało się, iż został imbrykiem porcelanowym, skutkiem czego ten pan od wielu lat pracował nad myślą, jakby się od stłuczenia zabezpieczyć. Powiedział sobie, że musi zamiar przeprowadzić do skutku. Jakoż kazał się od stóp do głowy odrutować i został z tém drutowaniem

odwieziony do szpitala, gdzie póty mu na głowę zimną wodę lano, aż skutek nastąpił

— Moja Kasiu! ja twoich dowcipów nie ciekawy jestem; — schowaj je dla siebie.

— Mnie się zdaje, że tobie będzie bardzo trudno z tym alfabetem, — rzekła Aneczka.

— Rozumie się, kiedy tyle lat pracując przyszedłem zaledwie do pięciu liter: O, W, M, A, J, — mówił Kazio ilustrując cieniami wyrazy.

— I po cóż ty sobie tego ćwieka w głowę wbijas?

— Aby się unieśmiertelnić, uszczęśliwiając świat.

— A to jak?

— Doprowadzając do skutku myśl moją. Trzeba wam wiedzieć, że im alfabet i gramatyka są prostsze, tém lud jest wykształceńszy a więc szczęśliwszy. Więc ja, upraszczając alfabet, przyczynię się do szczęścia ludzi.

— Szanujże się, mój kochany, żeby ludzi to szczęście nie minęło; a najlepiej, wiesz co, każ się i ty odrutować! to zawsze zabezpiecza.

— Z kobietami trudno rozmawiać poważnie, to rzecz dowiedziona — rzekł Kazio i wstał z łóżka, aby zabrać się znowu do książek. Zaraz też wstał i Oleś, i znów zaczął rzępolić coś z nut na skrzypcach. Kasia, poobcierawszy naczynia, zasiadła do przeglądania dzienników mód, które sobie z całego tygodnia na niedzielę od swojej kucpowej pożyczła; a zaś Aneczka brała książkę jaką zajmującą do ręki, i nie rozstawiała się już z nią, aż póki nie trzeba było świecy zapalić i herbatą, zawsze w garnku robioną, się zająć. Tak przepędzono dni niedzielne aż do herbaty, przepędzono jako tako, ale po herbacie, zasiadłszy około stołu, w godzinach najmilszych dawniej z całego tygodnia, prowadzono prawdziwie rozpaczliwe rozmowy, z jakich jedną rozpoczął właśnie Oleś powyżej wymienionemi wyrazami, trzymając się za głowę oburącz, a łokcie oparłszy na stole:

— Oj oj! jakież to nudny ten świat i ludzie na nim, — i Oleś ziewnął szaroko, aż mu żyły w oczach stanęły.

— Mniejsza tam o nudy, bo od tego jest rozum, aby się nie nudzić, ale to gorsza, że świat jest czczy i bezbarwny; i gdyby nie nauka, można by zawołać tak, jak to w książkach do nabożeństwa czytamy: próżność próżności i wszystko próżność... odrzekł Kazio, z rękami po napoleońsku, w tył przechylony i wsparty o poręcz krzesła, z nogą na nogę założoną, kiwając tą nogą i głową, jak dumający starzec.

— Gdyby mama i ojciec tu byli, wytłómaczyliby mi nie jedno i pogadali ze mną o tém, co czytamy; czytam, czytam, a mało co rozumiem, — po-

wiedziała Aneczka, zazwyczaj najcierplwsza i najbardziej milcząca z gromadki, ale dzisiaj zrozpaczona wyjątkowo jakimiś trudnościami w czytaniu. Bo dzieci malarza nauczone były zdawać sobie sprawę z każdego czytanego wyrazu i nie umiały przerzucać kartek bezmyślnie, byle książki dokończyć, jak to często dzieci robią, a nawet i nie tylko dzieci.

— Życie moje przeszło, jako cień minęło — perorował dalej Kazio zamysłony, zawsze głowę nad cieniem swego minionego życia kiwając.

— Gdyby tu ojciec był, poszłoby się przecież choć czasem do teatru, — niecierpliwie szepnęła Kasia, poprawiając włosy w lusterku od szczoteczki, którą zawsze w kieszeni nosiła.

— Jeżeliby wam tylko o towarzystwo i o ramię męzkie chodziło, to mogłybyście przecież iść ze mną, właśnie mi pensyą wypłacono, — rzekł Oleś.

— Aha, żeby cię gdzie w tłoku z twojem inżkiem ramieniem ludzie udusili, — odpowiedziała Kasia, wruszając ramionami.

— Aneczka! czy ty uważasz, jak ta Kasia robi się uszczypliwa? gdyby rodzice słyszeli, jak dziś parę razy docięła i Kaziowi, i mnie, pewnoby jęć to zganili — powiedział Oleś, a Kasia, która właśnie wstawszy, aby grzebykiem włosy przygładzić, przechodziła kolo niego, rzekła:

— Jeżeli naprawdę docięłam, to przepraszam, — i pocałowała w czoło braciszka, niby żartem, z macierzyńską niby minką; widocznie naprawdę żal jęć było, że mu za jego dobre chęci docięła.

— A mnie nie przeprosisz? czyś mało mi nadokuczała? — rzekł Kazio, a na to starsza siostra z wielce wspaniałą miną podała mu rękę do pocałowania, a on też i pocałował tę rękę, jakby to on siostrę miał przepraszać. Wtedy Aneczka powiedziała:

— Zdaje mi się, że nie powinniśmy chodzić do teatru sami, bo jesteśmy jeszcze wszyscy na to za młodzi. A i niemilaby mi była zabawa bez rodziców. Lepiej siedźmy spokojnie w niedzielę w domu, pracujmy cały tydzień, a pieniądze, któreby na teatr iść miały, dołożymy do kapitału na domek.

— Oh! żeby to choć do tego domu przyjść prędzej! — zawołał Oleś.

— Jak tu przyjść, kiedy się to wlecze takim żółwin krokiem! — krzyknął Kazio, który dotąd nic nie zarabiał.

— Ojciec nie pozwala zarabiać więcej, bo się boi, abyśmy nie zaniedbywali nauki; ale gdyby wiedział, jak nam się czas dłuży teraz, to ręczę, żeby nam pozwolił zająć się pracą, która jest przecież jedynem na nudy lekarstwem. Ja naprzykład

mógłbym bezpiecznie dawać kilka godzin lekcji muzyki w tygodniu, a za to teraz w niedzielę, zamiast poziewać, uczyłbym się wesoło tak, jak ojciec lubi, na cały tydzień.

(D. c. n.).

DĄB I SOSNA.

BAJKA.

Komuby przyszło do głowy,
 Że drzewa wiodą rozmowy;
 Ba! nawet prowadzą swary.
 Urażał sosnie dąb stary,
 Że za blisko niego rosła,
 Że postać jęj zbyt wyniosła,
 Pełna iglastych ostrości,
 Otrząsa liście z dębu jegomości,
 Na takie dictum sosna odpowie:
 Co też to wacpanu w głowie,
 Raczj ja mam urazę, że mi leziesz w drogę,
 Usuń się proszę, — dąb rzecze: nie mogę.
 Ileż to razy i my bywamy
 W roli tych drzew, bo wymagamy
 Od innych usług nad miarę.
 A zawezwani o takąż ofiarę,
 Jak ów dąb, w sobie znalazłszy przestroję,
 Musimy przyznać: choćbym chciał, czyż mogę?

W. R.

Huta Gzdowska.

d. 15 Lutego 1883 r.

ROZWIĄZANIE ZAGADKI HISTORYCZNEJ,

z N-ru 8 „Wieczorów”.

Nadesłane przez Anulkę J. z Niszowiec i odznaczone nagrodą.

Stanisław Potocki był synem Jędrzeja, kasztelana kamienieckiego, i Zofii z Piaseckich. Urodził się przy schyłku XVI wieku, 1579 r. w Podhajcach, na Rusi Czerwonej, właśnie wtedy, gdy imię Potockich głośnym się stało, przy waleczności czterech braci: Jędrzeja, Jana, Jakóba i Stefana Potockich, których Jan Zamojski protegował. Stanisława przezywają *Rewera*, bo miał często zwyczaj ten łaciński wyraz powtarzać.

Staranne wychowanie, odebrane w kraju, uzupełnił Stanisław w podróży i akademiach zagranicznych, we Francji i w Niderlandach. Mając już lat 28, w smutnej chwili do ojczyzny wrócił. Rokosz Zebrzydowskiego, jakby straszna hydra, targnął się na króla, na kościół, na wszystkie najświętsze ustawy. Przy królu stanął kwiat rycerstwa, czterdziestu senatorów i najzawołani hetmani: Chodkiewicz, Żółkiewski i Potoccy, 6-go Lipca 1607 r. pod Guzowem wszczęła się straszna i długo trwająca walka. Z obu stron jednaki

znaki, ludzie jednejsze mowy, synowie tej samej ojczyzny!

Rewera walczył przy ojcu i stryjach. Stryj jego, Jan, dowodził środkiem wojsk królewskich, złamał środkowe szyki rokoszów, dowodzone przez samego Zebrzydowskiego, i stanowczą zadawszy mu klęskę, odniósł zwycięstwo. Ojciec zaś Rewery, Jędrzej Potocki, dowodzący gwardyą królewską, tak ciężko był ranny, iż dopiero później wydobyto go z pośród trupów, otrzeźwiono i wrócono do życia. W nagrodę za waleczność pod Guzowem, Zygmunt III oddał Janowi Potockiemu województwo braclawskie, Jędrzejowi starostwo białokamieńskie, a młodemu Stanisławowi podkomorstwo podolskie. I o innych Potockich król nie zapominał, bo wszyscy stali przy nim wiernie w tej strasznej potrzebie.

Z pod Guzowa Potoccy, za przyzwoleniem króla, wyruszyli na Wołoszczyznę, prowadząc tam 4,000 swoich. Jan dowodził, a Stanisław wszędzie towarzyszył walecznemu stryjowi. Szło Potockiemu o uspokojenie zaburzeń, wywołanych w Wołoszczyźnie śmiercią hospodara Jeremiasza Mohiły, którego córka Marya była za Stefanem Potockim. Osadziwszy na gospodarstwie dziewierza (szwagra) Stefanowego, Konstantego, prędko rzecz swoją w Multanach skończyli, i wrócili napowrót pomagać królowi. Zebrzydowski, który właśnie próbował wyjść z kryjówki, gdzie się zaczajał, przyjął wtedy pośrednictwo Żółkiewskiego, i przeprosił króla.

W tymże czasie zmarł Jędrzej Potocki z ran odebranych pod Guzowem, a Stanisław, już teraz głowa oddzielnego domu, wraz ze stryjami, na czele znacznego pocztu, stanął pod Smoleńskiem przy Zygumcie III. Po długim oblężeniu, stryj jego, Jakób, mając naczelne dowództwo wojsk, zdobył twierdzę. Opasywał on miasto od wschodu, a brat jego Stefan od zachodu. W naznaczonej do boju nocy, 11 Czerwca 1611 r., Jakób Potocki pierwszy o samej północy wskoczył na wały. Dowódzca Smoleńska, oddał broń Potockiemu.

Łaska króla dla Potockich powiększała się ciągle. Stanisław, uczestnik bitew, uczestniczył i w łaskach; po posunięciu stryja Jakóba na województwo braclawskie, wziął po nim kasztelaństwo kamienieckie. Jan Potocki zmarł pod Smoleńskiem, przed wzięciem twierdzy.

W następnym roku Stanisław Potocki z najmłodszym ze swych stryjów, Stefanem, przedsięwziął nieszczęśliwą wyprawę do Wołoch. Chodziło im znowu o szwagra Stefanowego, Konstantego Mohilę, którego z Wołoch wygnano. Stefan, wówczas komendant kamieniecki, zebrał 6,000 wojska i prowadząc Konstantego na tron Woło-

szczyzny, wtargnął w jej granice. Tam otoczony przemagającą liczbą, stracił całe wojsko i dostał się do niewoli tureckiej, z której dopiero w lat kilka uratował się przez cudowną prawie ucieczkę.

Rewera, który na tę wyprawę z bratem swoim Jerzym przyprowadził 200 husarzy, uważany był za zaginionego. Jednak ocalał on ze strasznego pogromu z niewielu towarzyszami, lecz brata i większą część swego hufca stracił.

Po kilkoletnim wypoczynku, wraz z Żółkiewskim strzegł Rewera granic ponad Dniestrem. Był, jak powiada Niesiecki, pod Cecorą i Chocimem, ale, w opisach tych wojen nie wspominają o nim historycy. Liczą jednak, że w czterdziestu sześciu bitwach brał udział; więc zapewne żadnej ważniejszej wyprawy nie opuścił.

Sławny hetman Stanisław Koniecpolski wysoko go cenił, i w czasie wojny szwedzkiej z Gustawem Adolfem na nim najwięcej poległ. Gdy hetmanowi wypadało na czas pewien oddalić się z widowni wojennej, dowództwo powierzył Potockiemu. Polacy wtedy oblegali Brodnicę*) a Szwedzi chcieli ją opatrzeć w żywność. Po wielu pomysłnych potyczkach, Rewera, ufny w bitność swego wojska, nie zważając na liczbę, ze czterema tysiącami pod Górnem, 19 Lutego 1629 r., uderzył na trzykroć silniejszego nieprzyjaciela. Generał Wrangel dowodził Szwedami. Mimo największej waleczności, Stanisław Potocki poniósł tu klęskę; jednak nie osłabiło to zaufania i miłości wojska ku niemu.

Sprawiedliwy, przystępny, ludzki, na równi z prostym żołnierzem dzielący trudy obozowe, dobroczynny, szczerością a prawdą wszystkich sobie jednak. Z tego powodu, od przysłowia *re vera* (zaprawdę) które często powtarzał, wojskowi dali mu zaszczytne przewisko Rewery, czcząc jego prawość.

Gdy zawarto w Altmarku rozejm na lat sześć ze Szwecją, Rewera wrócił do rodziny, i wraz z całą Polską, odpoczął. Oddawna już, bo od powrotu z podróży zagranicznej, z protestantyzmu wrócił był na łono kościoła katolickiego, i odznaczał się wielką pobożnością. Nawet wśród wrzawy obozowej nigdy zwykłych pacierzy i modlitw nie opuścił. W czasie pokoju zajmował się fundacjami pobożnymi i czynami miłosierdzia. W swęj rezydencji Podhajcach piękną zbudował kaplicę, i w niej miejsce na grób swój wyznaczył. I kamienne kościoły hojnie obdarzał, i kolegia uczące wspierał.

Pierwszą jego żoną była Zofia Kalinowska. Trzech synów, dwie córki, i liczna rodzina ota-

czała go w czasie pobytu w Podhajcach. Pędził on tam żywot prawdziwie patryarchalny, gdy woj-ska tureckie podstały pod Kamieniec, prowadzone przez renegata Abazy baszę. Było to zaraz po koronacji Władysława IV. Abazy basza, odparty od Kamieńca przez hetmana Koniecpolskiego, pustoszył okolice nad Dniestrem, zbierając jasyr ze wsi i miast, gdy niespodzianie doścignęty pod Studzińcem przez Potockiego, poniósł klęskę w końcu Października 1633 r. Piętnaście tysięcy odbitych brańców polskich było chlubnym wieńcem dla zwycięzcy. Sturczony Rusin, Abazy, zemścił się tylko nikczemnie na stu jeńcach, którym przed serajem głowy pościnano.

Gdy kozacy, pod dowództwem Pawłuka, zbuntowali się i zaczęli palić kościoły i mordować mnichów, Rewera, to z Koniecpolskim, to z bratem swoim stryjecznym, Mikołajem Potockim, synem Jakóba, to sam, walczył przeciw rozwścieczonym hordom. Bił się pod Niedźwiedziemi Łozami, Borowicą, Chmielnikiem, Wiśniowcem, Zbarażem, Zborowem, Starczem i Beresteczkiem.

Po zawarciu ugody Białocerkiewskiej, we Wrześniu 1651 r. pożegnawszy wojsko, jechał już 70-o letni Rewera do domu, gdy kmięć nieznamy, orzący przy drodze, zatrzymał go i obdarzył żelazną buławą, którą dnia tego wyorał. Potocki, chociaż nie marzył już o nowych bitwach, darzył przyjął mile, nie przeczuwając, że wkrótce obie buławy koronne przejdą do niego. W istocie tegoż 1651 r. zmarł znacznie młodszy odeń brat stryjeczny, Mikołaj h. w. k., a w Czerwcu następnego roku w morderczej rzezi pod Batowem poległ hetman polny, Marcin Kalinowski.

Sławny nasz malarz Juliusz Kossak, w ślicznej akwarelli, pięknie przedstawił to wydarzenie Rewery z kmięciem i buławą.

Król Jan Kazimierz już w 1652 r. oddał mniejszą buławę Stanisławowi Potockiemu, a w 1654 roku oddał mu wielką buławę koronną. Ciężki to był zaszczyt i ciężkie czasy!... Potockiemu wypadło uspokajać kozaków i bronić południowo wschodnich województw. Trudność zadania tém większą czynnością ożywiła starego hetmana.

Wyruszył z Tarnopola do Szarogrodu, na Podole, wśród słot jesiennych, po najgorszych drogach, i z Szarogrodu rozpiął uniwersały. Ale nie zważano na obietnicę jego. Miasta i miasteczka trzeba było zdobywać z ciężkimi stratami i krwi rozlewem. Czarniecki wspierał dzielnie Rewerę. Upadały po kolei miasta i zamki kozackie. Najzawzięcię bronila się Busza z warownym zamkiem, nad brzegami Dniestru. Tam rannym był Czarniecki, ale 16,000 kozactwa zniesiono. Wszędzie zapamiętała ludność bronila się

*) W Prusiech.

do ostateczności. Wzięto Braclaw 19 Grudnia, a Tatarzy krymscy przyszli z pomocą Potockiemu. Zdobyto jeszcze kilka miast, i 30 Stycznia 1655 r. rozbito Chmielnickiego pod Ochmatowem. Była to nocna bitwa, tak ognista, że noc w dzień się przemieniła.

Tatarzy wrócili do Krymu, i dopiero w Marcu nowe posiłki przywiedli. Ale ponieważ, tak oni, jak Polacy, mieli konie pomizerowane, przede wszystkim paśli je, rozłożywszy się ponad Dniestrem; a gdy odpocząwszy, hetmani rozpoczęli na nowo kampanią, przyszedł niespodziany rozkaz królewski, powołujący Lanckorońskiego z Czarnieckim na obronę Warszawy od Szwedów. Hetman wielki sam pozostał z bardzo uszczuplonym wojskiem. Tatarzy odeszli, a wieści z Warszawy coraz były gorsze. Wtedy Rewera, pozostawiwszy obronę Kamieńca synowi swojemu, Piotrowi, jako staroście miejscowemu, obronę Lwowa generałowi artylerji, Krzysztofowi Grodzickiemu, powołał do broni szlachtę ruską. Ale nie poparty, zebrał tylko 4,000 rycerstwa. Pobiegly tłumy Chmielnickiego, wsparte posiłkami cara Aleksego, za cofającą się garstką. Zwycięstwo nie było trudne. Przy sposobności jednak gromił w. hetman mniejsze nieprzyjaciół oddziały, i doszedłszy do Gródka, o 4 mile od Lwowa, stanął w miejscu warowném. Lecz im bardziej zbliżał się ku środkowi kraju, tém więcej wojsko jego traciło nadzieję utrzymania się; wreszcie, będąc otoczone przez kozaków, poszło w rosypkę. Zagnalony okolicznościami, i Potocki musiał się poddać Szwedom.

Wkrótce jednak, po cudownej obronie Częstochowy, ośmielony naród przystąpił do związku Tyszowieckiego (29 Grudnia 1655 r.). Zaraz się do niego przyłączył Rewera, i wraz z innymi przysięgł, że nie złoży broni, aż wybawi ojczyznę. I nagle wielkie niebezpieczeństwo zagroziło Szwedom. Stefan Czarniecki w Prusiech, Jerzy Lubomirski pod Krakowem, Paweł Sapieha na Litwie, Gąsiewski na Żmujdzi, a Potocki Rewera na Ukrainie, zewsząd Szwedom zagrozili. „Przykład obrońców Jasnej Góry, cudowny zapal, płomień, którego ognisko jest dalej, niż ta doczesność, ogarnął i wywyższył serca... więc jak olbrzym zbrojny wyszła z narodu moc, przez którą wszystkie mocy świata łamią się i kruszą, i został naród przy życiu”!..

Sędziwy wielki hetman miał też w sobie swą siłę żywotną, i on był pelen wiary!..

Ukazał się jeszcze nowy nieprzyjaciół, Jerzy Rakoczy. Ale Czarniecki, Lubomirski i Rewera ścisnęli go i szarpali ze wszech stron. Strwożony Rakoczy ledwie uprosił w. hetmana, iż mu odejść pozwolił.

Pokój podpisany w *Oliwskim klasztorze* i śmierć Karola Gustawa, oswobodziła Polskę od wojny szwedzkiej. Odniósł także zwycięstwo nad Szerebietowem, który wspierał kozaków, było to pod Cudnowem d. 1. Listopada r. 1660.

Z bitwy pod Cudnowem zdał sprawę w. hetman przed sejmem, w Maju, następnego roku. I on na tym sejmie złożył zdobyte chorągwie, których sam Czarniecki przywiózł 115. W izbie tronowej, nie można było widzieć króla poza chorągwiami, a w dzień Bożego Ciała usłano niemi drogę Jezusowi.

Po tym sejmie, usunął się Potocki na słusznie należny mu spoczynek. Ale gdy Lubomirski podniósł przeciw Janowi Kazimierzowi rokosz, ze wszech miar podobny do rokoszu Zebrzydowskiego przeciw Zygmuntowi III, w. hetman, jak niegdyś pod Guzowem, stanął i dziś przy królu.

Najprzód, jako powinowaty Lubomirskiego, wstawiał się za nim do Jana Kazimierza i w Senacie. Lecz gdy daremnie upominał samego w. marszałka, aby jako dobry obywatel, ojczyzny nie trapił, widząc jego zuchwalstwo i pychę, zarzucił mu otwarcie *infamią*, i myślał już tylko o obronie króla.

W utarczce pod Częstochową, stoczonej z rokoszanami 4 Września 1665 r., był jeszcze zacy i wierny Rewera.

We dwa lata później umierał spokojnie w Podhajcach w 88 roku życia, zapewniając przytomnych, „iż się nie lęka śmierci, którą w tylu okazyach widział“.

Rewera Potocki osobliwie *prawością* charakteru odznacza się w historii i za wzór służyć może.

Dwaj synowie jego, Jędrzej i Szczęsny, odznaczali się męstwem pod Chocimem i Wiedniem.

Z drugą swą żoną, Anną Mohylanką, nie miał dzieci.

(Oprócz tego wyborne rozwiązania, zasługujące na nagrodę nadesłali: Czesław Gr. z Częstochowy, Marya K. ze Zwinogródka, Natalia Ż. Z. i K. Ad. z ulicy Pańskiej w Warszawie, Zosia i Jadwisia Kr. z Łęczny, Stanisław M. z Płocka, Melania B. z Łychowa, Wanda R. ze Zbrzyzia, Jan N. z ulicy Senatorskiej w Warszawie, Wańdzia Ch z Wilczopola, Tadeusz R. z Żytomierza, Gabryńcia M. z Muchowłok, Zofia Sz. z Olewina, Emilia Str.

Wszystkim tym kochanym czytelnikom, którzy tak staranne wypracowania nam przysłali, serdeczne składamy podziękowanie.

Zadanie konikowe (Teresa S.).

blą	mia	że	dzi	swo	aż	mi	ja
bra	ły	za	do	ły	kież	gdzieś	cił
sta	ka	pe	aż	śni	bo	sy	cię
lo	ku	dzo	dnie	za	mem	nu	ny
ny	smu	tu	o	bar	pie	ku	gło
to	sy	mię	za	pod	knem	ła	no
cił	jak	że	ski	sie	two	je	wa
Zkąd	wiej	wy	żeś	two	śpie	czo	je

Zadanie geometryczne (Woch Heleni).

A	B	C
D	E	F

Z tych sześciu kwadratów odjąć trzy boki, aby pozostały cztery kwadraty w związku z sobą.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 14-go.

Rebusu graficznego:

Jest to cnota nad cnotami, trzymać język za zębami.

Łamigłównki zgłoskowej:

- Jawa
- Aalborg
- Gobi
- Rów
- Edward
- Łaba
- Łój
- Oski

Jagiello i Jadwiga.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Zosi M. w Welezinie. W łamigłówce Tadzia F. niema żadnej omyłki, było aż trzech królów egipskich tego imienia. Wprawdzie w dawniejszych dziełach historycznych piszą to imię Psamenit, gdyż tak ich nazywali historycy greccy, ale w napisach hieroglificznych wyczytano *Psametyk*, a po polsku zwykle się pisze Psametych. Dobrze to bardzo, że kochane czytelniczki udają się do redakcyi w takich wątpliwościach, zawsze najchętniej udzielimy żądanych objaśnień.

Stefciowi Kw. Łamigłównka bardzo dobrze ułożona i wydrukujemy ją niezadługo. Cieszymy się bardzo, że Podróż Adasia i Zosi tak się podobała i starać się będziemy, według życzenia kochanego czytelnika, aby wszystkie powiatki w Dodatku były równie zajmujące. Braciszкови starszemu, który o nas zupełnie zapomniał, przesyłamy ukłony.

Wincsi S. w Lublinie. Łamigłównki wybornie odgadnięte, ale czemuż to kochana korespondentka nie miała odwagi wcześniej do nas napisać? czyż to taka rzecz straszna zrobić nam przyjemność ładnym liścikiem i otrzymać odpo-

wiedź, która znów korespondentom naszym zawsze przyjemność sprawia. Dziękujemy za wiadomość, które powiatki i podróże się najwięcej podobały i mamy nadzieję częściej teraz odbierać miłe liściki. Adresować je najlepiej wprost do naszej redakcyi, Mazowiecka N-r 8, a zawsze dojdą do rąk właściwych.

Tadziowi Kr. Łamigłównki i zagadnienia będą wszystkie wydrukowane; cieszymy się bardzo, że nam przybył tak pożyteczny współpracownik.

Stefciowi J. w Warszawie. Bardzo żałujemy, że nie możemy dogodzić kochanemu małemu czytelnikowi, który chciałby mieć dwa Dodatki w każdym N-rze Pisma; ale starsi czytelnicy nie byłiby temu radzi, bo musielibyśmy tę drugą kartkę im chyba odjąć. I tak już narzekają niektórzy, że nie mają w tym roku osobnego powieściowego Dodatku, któryśmy oddali młodszemu, a mybyśmy chcieli wszystkim dogodzić. Cieszymy się niezmiernie, że Podróż Adasia i Zosi tak zajęła małych czytelników. Opis, którego się spodziewał Stefciwo, będzie rzeczywiście w tej podróży zamieszczony, ale dopiero przy końcu.

J. A. W. Wierszyk, nadesłany jako rozwiązanie zagadki historycznej z temi literami u góry, jest dosyć gładko napisany, ale zawiera parę błędów historycznych, o czém łatwo się przekonać, odczytując rozwiązanie w niniejszym N-rze Pisma drukowane.

Panu Rudolfowi D. Nadesłany wierszyk nie jest stosowny dla naszego Pisma i nie będzie drukowany.

Pani Jadwidze D. w Wilnie. Pismo wysłałismo do Moskwy pod wskazanym adresem. Serdecznie dziękujemy za życziwe dla nas wyrazy, a z dobrych rad nie omisszamy skorzystać.

Edziowi M. w Warszawie. Zaledwie odpowiedzieliśmy na liścik dawniejszy, aż tu nadeszło, jakby na zawołanie, trafne rozwiązanie rebusu. Widać, że kochany korespondent i z trudniejszymi łamigłównkami wybornie sobie daje rady.

Pani W. Sm. w Pruzanach. Ogłaszaliśmy już pokilkakrotnie, że luźnych kartek powieści z dodatku zeszłorocznego nie posiadamy już na składzie i takowych nie odstepujemy. Mogą być tylko nabywane całe roczniki Pisma, lub pojedyncze N-ra, o ile się znajdują w redakcyi, w takim więc razie należy wymienić wyraźnie N-r Pisma do którego należał zatracony dodatek, inaczej bowiem poszukiwanie kartek jest zanadto uciążliwe.

R. B. w Pyzdrach. Otrzymałismo trafne rozwiązanie łamigłównki z tym podpisem. Szkoda, że nic więcej nie było w liściku.

Eugeniuszowi J. w Maryampolu. Najpięrw zwracamy uwagę, że liścik niewłaściwie jest zaadresowany do *Panów Redaktorów*, gdyż kierowniczką naszego Pisemka jest kobieta. Następnie uwiadomiamy wszystkich nowoprzybyłych prenumeratorów, że początek *Podróży naokoło świata* nie może być dodany nikomu, gdyż podróż ta, rozpoczęta we Wrześniu roku zeszłego, tylko z powodu braku miejsca nie była dokończona w tym samym roku. Nie początek więc, lecz całą prawie podróż w 16 N-rach Pisma zamieszczoną, musielibyśmy tym sposobem przesłać bezpłatnie licznym prenumeratom. Kto jest ciekawy tej podróży, oraz wielu innych powieści, podróży i opowiadań, może nabyć cały komplet Pisma zeszłoroczny, zbroszurowany, za rs 4.

Ogłoszenie.

Biblioteka matematyczno - fizyczna wydawana przez Maryana Baranieckiego z zapomogi kasy pomocy naukowej imienia Mianowskiego.

Serya I. Tomy II i III.

Wiadomości początkowe z fizyki S. Kramsztyka.

Kartonowane 103 drzeworyty. Cena części I kop. 30, II kop. 45.

SPROSTOWANIE.

W N-rze 15-tym na str. 231 szp. 1. w. 2.

Zamiast: habicie kapucyńskim
czytaj: habicie karmelickim

Do skowronka.

przez KAROLA STUDZIŃSKIEGO.

Tercet na dwa głosy żeńskie i jeden męzki (Tenor lub wysoki baryton).

p

Sko-wron-ku już wio-sna wró-ci-ła ra-do-sna, Ty krą-żysz wo-ko-ło

p

p

i nu-cisz we-so-ło Nie dla-mnie już mi-ła dziś wio-sna wró-

p

f *p*

ci-ła Ja nu-cę na wio-snę pio-sen-ki ża-ło-sne

f *p*

Pod nie-bo się wzno-sisz Stwór-cę swe-go gło-sisz Swo-bo-dny szczę-śli-wy

oz-da-biaj twe ni-wy Ja w pelu ztęsk-nio-ny Ża-ło-sne gram

Rallent.

to-ny Bo mo-ja je dy-na Zui-knę-ła Pta-szy-na

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



Kwiateczek i pszczołka.

Wiosna! Wiosna! wesoła ta nowina rozniosła się wszędzie, usłyszały o niej i ptaszęta, i owadki, i roślinki. Więc ptaszynki z dalekich zamorskich krajów zaczęły śpiesznie powracać do kraju, owadki powysuwały się z różnych kryjówek, z norek podziemnych, ze szczelinek murów i pni drzewnych, gdzie sobie przespały długą zimę. Przeróżne młode muszki powyklowały się z jajek, młode roślinki znów z ziemi popodnosiły łebki i zrobiło się na świecie zielono i wesoło.

Na jednej ładnej łączce wyrósł mały krzaczek, miał zrazu dwa tylko listeczki zielone, potem mu przybywało coraz więcej, aż na koniec na jednej gałązce ukazał się okrągły, pękaty pączek. Słoneczko przygrzewało coraz silniej i pączek rósł coraz większy, na koniec zaczął rozchyłać zielone osłonki i ze środka wydobył się śliczny, złocisty kwiateczek.

Pracowita pszczołka przedrzemała całą zimę w ciemnym, ciepłym schronieniu, bo niema dla niej żadnej roboty, gdy zimno na dworze; ale jak tylko się ciepłej zrobiło, zaraz wyleciała na świat Boży, bo ona próżnować nie lubi i tylko z konieczności odpoczywa.

Pofrunęła więc nasza pszczołka na ładną zieloną łączkę, szukać słodziutkiego miodu i zdaleka zobaczyła złocisty kwiateczek.

— Oho! — zabręczała wesoło — zaraz będę miała miodek. Bogu dzięki kwiateczki zawsze w samą porę zakwitają, jak tylko ja się przebudzę i potrzebuję pokarmu. Ale nic dziwnego, toż one umyślnie dla mnie są stworzone i po to tylko kwitną, żebym ja miodek miała.

I mówiąc to, usiadła na złocistym kwiateczku, zapuściła w głąb jego długą swoją trąbkę i zaczęła wysysać słodki syropek.

A kwiateczek zaśmiał się, aż zatrzepotał płateczkami i rzekł:

— Zabawna ty sobie jesteś, moja pszczołko; myślisz, że ja po to tylko roztwieram taką ładną złocistą główkę, żebyś ty smaczne miała jedzenie. Mam ja co innego na głowie i dziwię się, że taka roztropna osóbką, jak ty jesteś, nie dopatrzyła tego sama. Oczki masz bystre i nieraz zaglądasz aż do dna mojego kielicha, czy nie widziałaś, co tam jest?

— O, widzę ja to wszystko doskonale — powiedziała pszczołka — masz tam po samym środku maleńki słupek z gałeczką, a w tej gałeczce schowany jest zawiązek, z niego się nasionko robi. Dokoła słupka masz pęczek cieniuteńkich pręcików, każdy zakończony woreczkiem pełnym drobnuteńkiego pyłeczku. Mam ja dobre oczy i dostrzegam najdrobniejszych rzeczy. I wiem, że nasionko nie zawiąże się w słupku, póki pyłek z pręcików się nie rozsypie, to też dopomagam ci do tego jak mogę. Wysysam miodek, a łapkami na wszystkie strony wywijam, przydeptuję woreczki z pyłkiem, żeby się prędzej rozsypały. Są takie kwiateczki, co nie mają wcale pręcików, tylko same słupki, a w takich nigdyby się nasionka nie zawiązały, gdyby grzechny wietrzyk, albo usługny owadek nie przyniósł im pyłku z innych kwiateczków, co znów nie mają słupków, ani zawiązków. Oj, nieraz ja przenosiłam pyłek na łapkach,

a kwiateczki ślicznie mi za to dziękowały i częstowały wyborynym miodkiem.

— Ależ, moja pszczółko — powiedział kwiateczek — ja o tem wszystkim wiem dobrze; i także ci jestem wdzięczna za twoją grzeczność dla mnie, chociaż, co prawda, zawsze sobie za to dobrym miodem każesz płacić. Sama jednak powiedziałaś, że moje ładne, złociste płateczki, otulają słupek i pręciki, więc nie tylko poto są na świecie, ażebyś ty miała smaczne jedzenie. Ja ci nawet powiem, że te płateczki, to jest tylko sukienka moja, a prawdziwym kwiateczkiem we mnie są te pręciki i ten słupek, bo z tego wyrasta nasionko. Widzisz, widzisz, pszczółeczko, ja poto żyję na świecie, ażeby nasionko wydać; jak ono dojrzeje, śliczna moja sukienka kolorowa opada, bo już na nic nie jest potrzebna.

— Przyznasz jednak, mój kwiateczku — rzekła pszczółka, że ja nie jem darmo twego miodu. Przeszłego roku u mojego pana ślicznie owoce zarodziły, a to dla tego, że nasze ule ustawili w sadzie. Sama słyszałam, jak ogrodnik mówił, że tak zwykle bywa: w sadach, gdzie ustawią pasiekę, zaraz i owoców jest więcej, bo my gospodarujemy porządnie w kwiateczkach i rozsypujemy pyłek, a tym sposobem owoc prędzej i łatwiej się zawiązuje.

— Bo to widać, moja pszczółko — powiedział kwiateczek — tak już Pan Bóg rozporządził na tym świecie, żeby jedni drugim pomagali. Ja tobie miodek daję, ty mnie rozsypujesz pyłek, przenosisz go z jednego kwiateczka na drugi i dobrze nam z tem. Ale nie trzebaż znowu sobie wyobrażać, że wszystko jest dla nas stworzone i służy jedynie dla naszej wygody i przyjemności. Każda istota żyjąca ma swoje przeznaczenie. Ty zbierasz miodek, karmisz nim swoją dźwiatwę, a ja znów rozwijam się, kwitnę, ażeby wyhodować nasionka, moje dzieci. Ale zawsze jedni drugim dopomagamy, a będzie nam dobrze na świecie.

SIEROTY.

Ty masz tyle, dziecię drogie,
Tobie wszystko, wszystko dają;
Lecz są też dżiatki ubogie,
Które nic a nic nie mają.

Ty masz Ojca i Mateczkę,
One — są biedne sieroty;
Do zabawy masz lalczkę,
One — chodzą do roboty.

W zimie masz ciepłe ubranie,
One — podarte sukmaniki;
Jesz ciasteczka na śniadanie,
One — głodne w noc i w ranki.

Ty wiosną biegasz po łące,
One — pracują na roli;
Gdy owoców jesz tysiące,
Im — jesień nie zmienia doli.

Ty wieszysz życie beczynne,
One — pracują dla chleba,
Ty masz swe kółko rodzinne,
One — nikogo, prócz... Nieba!...

T. K.

KAZIO i STASIA.

— Ach, jakbym ja chciał już być dużym! — powiedział raz Kazio do Stasi.

— A to czemu? — spytała.

— A to temu, że chodziłbym wtedy dwa razy w dzień nad staw do kaczek, gdzie ta nudna niańka tak rzadko nas teraz prowadzi — odpowiedział Kazio.

Stasia powiedziała Mamie, że Kazio bardzo pragnie codzień chodzić nad staw do kaczek, i Mama kazała niańce chodzić tam z dziećmi dwa razy dziennie. Ledwo tydzień upłynął takiego nad staw chodzenia, gdy raz Kazio, wybierając się na przechadzkę, rozplakał się i iść nie chciał. Pokazało się, że wolał już w domu siedzieć, niż iść nad staw, tak mu się tam chodzić uprzykrzyło. Wtedy rzekła Stasia do Kazia:

— Czy wiesz teraz, dla czego nie codzień chodziliśmy nad staw, i nie codzień dostajemy cukierki, i nie codzień dają nam nowe zabawki? Oto dla tego, że każdej zabawy i każdej przyjemności trzeba w miarę używać, bo zbytek natychmiast się uprzykrzy we wszystkim, oprócz w jednej rzeczy.

— W jakiej? w której — pyta Kazio.

A Stasia odpowiedziała:

— W nauce!

GNIAZDECZKO.

Było lato, pogoda i ciepło. Jaś wybiegł do ogrodu i cieszył się, że tak ślicznie na dworze, tak zielono, kwiateczków pełno wszę-

dzie, słuchał, jak brzęczą różne owadki, a w krzakach ptaszeczki świegocą.

Jeden głosik szczególnie wydał mu się bardzo miłutki, chociaż nie był wesoły, ale przeciwnie jakiś żalony troszkę. Jaś myślał sobie: co to musi być za prześliczny ptaszeczek, co tak woła: kiri ki ki! kiri ki ki! Ale nie mógł z razu tego ptaszeczka dojrzeć, więc zaczął słuchać uważnie, z kąd głos wychodzi i doszedł, że z głębi krzaka niezbyt wysokiego. Jaś przybliżył się bardzo ostrożnie, żeby ptaszyny nie spłoszyć, stanął tuż przy krzaczku, wspiął się na paluszki i zajrzał do środka. Ach! jakąż prześliczną rzecz tam zobaczył! Pośród gałązek urządzone było małe gniazdeczko, a w niem siedziało kilkoro pisklątek takich zabawnych, bez piórek; wszystkie wyciągały szyjki i otwierały dziobki, patrząc na większą ptaszynę, pewnie mateczkę swoją, Jaś domyślił się tego odrazu. I to ta mateczka tak się czegoś żaliła, wołając ciągle: kiri ki ki! kiri ki ki! Jaś stał nieporuszony, nawet oddech zatrzymał, oczki tylko rozszerzył szeroko, zaglądał na wszystkie strony, aż w końcu zobaczył, czego biedna ptaszyna tak się skarży i żali.

Pod krzakiem, na ziemi, leżało malutkie pisklątko, takie same, jak te, co w gniazdeczku siedziały i także piszczało, ale tak słabuchno, że Jaś dopiero teraz je usłyszał, Chłopczykowi żal się zrobiło bardzo pisklątku, bo domyślił się, że ono jakimś przypadkiem z gniazdka wypadło, a mateczka podnieść go nie może. A teraz pewnie przyjdzie kot, schwyci opuszczone biedactwo i pożre. Ale nie, nie, Jaś nie pozwoli na to, on pisklątko poratuje w nieszczęściu. I schylił się chłopczyk, wziął bardzo ostrożnie i leciutko maleństwo w paluszki, nie przycisnął go, ani zdusił, i włożył napowrót do gniazdka. O, cóż to była za radość! Matka-ptaszyna zawołała znowu kiri ki ki! ale tak jakoś wesoło, radośnie, że i Jasiowi serduszko się rozradowało. Napatrzywszy się na ptaszeczki do woli, odszedł od gniazdka, biegł po ogrodzie, i przez cały dzień było mu tak dziwnie miło, że przysługę wyrządził tym biednym ptaszynom.

T y g r y s .

Tygrysiatko z bawołem maleńkim pospołu Igrało, rozprawiając o przyjaźni wzniośle; Gdy wyrosli, zadusił raz tygrys bawoła, Zarzucił sobie na grzbiet i uniośł w zarośle,

I pożarł — tę naukę zostawiając światu,
Że nie każdemu można tak ufać, jak bratu!

Podróż Adasia i Zosi do gorących krajów.

(*Dalszy ciąg.*)

Zosia przetarła oczki, usiadła na kolanach Tatki, a ten podał jej zaraz długą trzcinkę i dziewczynka zaczęła wysysać z wielkim smakiem słodziutki, orzeźwiający syrop. Ogromne pole pokryte było tą trzcina, wyglądało tak prawie, jak nasze zwyczajne sitowie na bagnach.

— Las! las! — wołał znów Adaś, gdy słonie zbliżyły się do zarośli — ale co to za dziwne jakieś drzewa? cieniuteńkie, jak laseczki, myślałbym, że to także jakieś trzciny, żeby nie takie wysokie. Tatko, czy to także palmy?

Dziwny to doprawdy był las. U góry, niezmiernie wysoko, kołysały się w powietrzu ogromne pęki liści zielonych i cień przyjemny roztaczały dokoła, ale pnie tych wysokich drzew wyglądały naprawdę, jak cienkie, giętkie trzciny, zupełnie suche i żółtawe, jakby drewniane, tylko bez kory, gładziuteńkie, niby politurowane.

— To jest las bambusowy — rzekł ojciec — przypatrzcie mu się dobrze, moje dzieci: bambus, trzcina drzewiasta, jest to jedna z najosobliwszych roślin indyjskich. Widzieliście pewnie nieraz w Europie ładne laski bambusowe, z tych łodyg zrobione, ale nie domyślaliście się, że one są przywiezione z Indyj. Indyjanie budują sobie domki z trzciny bambusowej; przy naszym wiejskiem mieszkaniu jest taka altana, będziecie się w niej bawili w czasie upału, a i kanapki nasze ogrodowe wyplatane są także z bambusu.

— Jakież tu dziwne rzeczy w tych Indyjach! — mówił Adaś — tam był las bananowy i Tatka mówił, że banany to są takie ogromne ziola, a pnie mają z liści poskręcane; tu znów las trzciniowy, ogromny las z samych cienkich lasek.

— Tatko kochany — odezwała się Zosia, podnosząc się na kolanach Tatki i obejmując go za szyję — ja czasem myślę, że to wszystko mi się śni, że ja się zaraz przebudzę.

— Ależ dopiero coś się przebudziła i nie

śpij już więcej, bo tu jeszcze pewnie będą nowe osobliwości — wołał znów Adaś.

— A czy wam się czasem jeść nie chce, moje dzieci? — zapytał Ojciec — wiem, że Mateczka zabrała zapasy w koszyku; chciałem, ażebyśmy się zatrzymali ztąd niedaleko, w cieniu drzewa wspaniałego i także bardzo osobliwego.

— Słyszysz, Zosiu! — wykrzyknął Adaś — nie, nie, my jeszcze nie głodni, wolimy dojechać do tego osobliwego drzewa.

Słonie szły niby to powoli, ale takie ogromne kroki robiły, że prędzej daleko wiozły naszych podróżników od koni. Ojciec mówił, że jeździec musi pędzić galopem, ażeby się zrównać z takim słoniem, co się wcale nie śpieszy.

Nim dojechano do owego drzewa, gdzie miał być popas, dzieci miały jeszcze jedną wielką przyjemność, zobaczyły słonia zaprzęzonego do pługa. Obok niego szedł Indyanin, a ogromny zwierz ciągnął pług tak spokojnie, jak nasze pocziwe wołki. Ojciec powiedział, że pole to orze się pod trzcinę cukrową, bo w Indyach południowych, gdzie jest bardzo gorąco, nie udaje się zwyczajne zboże; za to rolnicy uprawiają inne rośliny, trzcinę cukrową, bawełnę, indygowiec, który daje piękną farbę błękitną, a zamiast pszenicy i żyta sieją wszędzie ryż.

Ojciec pokazywał dzieciom po drodze takie pole ryżowe, do naszych zbożowych łąnów zupełnie podobne; ta jest tylko różnica, że ryż potrzebuje bardzo dużo wilgoci, więc sieją go zwykle na miejscach bagnistych, albo na nizinach, gdzie można spuszczać wodę ze strumieni i stawów. Widziały także dzieci krzaki bawełniane, kwiat ich bladło-żółtawy podobny jest do ślázowego, a po okwitnieniu w torebkach nasiennych wytwarza się owa miękka, puszysta wata.

Adaś i Zosia przypatrywali się wszystkiemu ciekawie i słuchali uważnie opowiadań ojca, ale wyglądali niecierpliwie owego drzewa, które musiało być osobliwsze jeszcze od innych, a niemało przecież niezwykajnych drzew widzieli już w Indyach.

— Oho! widzę już w oddali naszą figę, zaraz i na popas zdążymy — rzekł ojciec.

— Figę? — powtórzyła Zosia zdziwiona.

— A toż Tatka mówił o jakimś ogromnym i osobliwym drzewie—powiedział Adaś — cóż znów ta figa ma znaczyć?

— Zkądże ty wiesz, że figa nie jest ogromnym i osobliwym drzewem?— spytał ojciec.

— Bo ja widziałem drzewka figowe w ogrodzie Botanicznym w Warszawie — mówił Adaś — i niema w nich nic a nic osobliwego. Mama mówiła, że i ten nasz fikus, co to rośnie w dużej doniczce i takie ładne, grube miał liście, to jest figa innego gatunku; ale i ten fikus także sobie był nieosobliwy i niewielki.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

Z A G A D K A.

Co to jest za owad, który tak jest zwany Jak dowódzca pewien zwie się w każdym kraju, Który morską siłą jest udarowany, Gdyż mieszka na wyspie lub na lądów skraju, Oprócz jednej Turcyi, gdzie jak wieść ogłasza, Ten dowódzca zowie się: *Kapudan-pasza*.

M. Krz.

Łamigłówka zgłoskowa. (Moryś K.)

n o
i ł
e i c
m z e y
i ń n d e
r i u b g o
i t e o m c u

Z tych liter rozsypanych ułożyć zdanie moralne, powszechnie znane.

Rozwiązania do Nr. 13-go.

Zagadki historycznej.

Pomorze, czyli Po—nad—morze, jest to ziemia nad morzem Bałtyckim leżąca i ztąd tę nazwę otrzymała. Ziemia ta za Bolesława I przyłączoną była do Polski, utraconą znowu za Leszka V, a potem Krzyżacy ją zabrali. Odzyskał ją Kazimierz Jagiellończyk, a w roku 1773, to jest po pierwszym rozbiórce Polski zagarnęli ją Niemcy, pod których panowaniem do dziś dnia się znajduje. Stolicą téj ziemi jest Gdańsk, osada starożytna, przy ujściu Wisły leżąca.

Tadzio Kr.

Łamigłówki zgłoskowej.

Warna.

Il.

Lis.

Noemi.

Ołów.

Wilno—Wisła.